

R o k tysiąc dziewięćset czterdziesty był dla nas wyjątkowy.
Nigdy nie da się zapomnieć, nawet o tym nie ma mowy.
W dzień dziesiąty luty, o piątej nad ranem my jeszcze wszyscy spali,
Jak hordy sowieckie w brawnikami w ręku nam do drzwi zastukali.

I krzyczeli głośno: otwierajcie drzwi, sobirajcieś skoro, polskie pany.
Uzbrojone po zęby, jak to jest z natury, ryczą rozjuszone, jak dzikie tur.
Zbierajcie się prędko, bo czas szybko leci.
Wpada jeden, drugi, a za nimi trzeci.

Krzyczą: nie nie bierzcie, tylko swoje dzieci.

Te nasze pociechy jeszcze rozespane
powsadzaliśmy do wozów w namarznęte siano.
A mróz wzmagął się wysoko, na stopień czterdziesty czwarty.
A nas biednych do pociągu wieźli przez Gierwiaty.

Przywiezino nas furmanką do stacji Soły
I kazano nam pożegnać nasze polskie sioła.
Kazano nam wsiadać w wagony cielejące
I nie powrócicie wy tutaj już więcej.

Zatrzasnięte drzwi zostały w tych naszych wagonach
I zaryglowane od zewnętrznej strony.
O jakaż to rozpacz w tych wagonach była,
Gdy lokomotywa z miejsca poruszyła.
Były straszne jęki i płacze i troski,
Niektóre śpiewali pieśń do Matki Boskiej
I błagali chórem: ratuj że nas Pani
Za cóż my nieszczęsne zostali wygnani.
Z ziemi naszej świętej, która jest tak droga.
Chyba tylko uratuje nas opatrzność Boga.
I z bólem w sercach: ratuj nas, wołali.
I tak swą Ojczyznę my pożegnali.

Prędko zniknął pociąg z horyzontu Polski
Na sybirze nas czekał harach stalinowski.
Ta droga na sybir tak okrutna była
Bo do zagłady nas ona prowadziła.

W drodze nam nie dali ni chleba ni wody.
Traktowano równo wszystkich, jak starych, tak młodych.
A nawet dzieciom wody nie dali.
Namarzłe śruby w wagonie dzieci oblizywały.

Ja nigdy nie zapomnę, co w ten czas przeżyłam
Jak moja córeczka śniegu poprosiła
U żołnierza, który pełnił służbę przy naszym wagonie
Nie mógł on podać śniegu, bo naczelnik stał po drugiej stronie.
Jak by naczelnik zobaczył, to żołnierzowi nagana włóci.
Nie wolno podać śniegu, bo to są polskie dzieci.

A na jutro znowu poprosili z rana
Prędko i cichutko śniegu jej podano
przez żołnierza Rosjanina, co na warcie przy nas stał
On nie bał się nikogo, bo naczelnik jeszcze spał
Z jakąż radością i razem płacząc ona śnieg ten chwyta.
Mamo! czy to polski żołnierz? prędeż u mnie pyta.

A czemu ty pytasz, córeczko, kochanie?
Myślisz, że to wszyscy są źli Rosyjanie?
Ona bardzo prędko tak odpowiedziała
Tamten Rusak nie dał śniegu, choć go tak błagałam.
Córeczko kochana, nie wolno majaczyć
Ja ci muszę wszystko teraz wytłumaczyć.
Dziecko moje drogie, on też jest pod strachem,
Pomimo, że on jest tu pod swoim dachem.

I tak wieźli dnie i noce przez całe czterdzieści
I zawieźli nas na Sybir, do kopalni wreszcie.
Kazano nam wysiadać, to nie jest obczyzna.
Już nie wrócić wam na zachód, tu wasza ojczyzna.

Bo ta wasza zgniła Polska już z mapy zmazana
I możecie pisać skargi do niebios, do pana
A może on teraz was od nas wykupi.
W to nikt już nie uwierzy, chyba byłby głupi.

Ale Boskie Oko czuwało nad nami
Chociaż my nieszczęsne byli za górami
A w kopaniach złota tak nas przywitano:
Jak dla krasnoludków chatuszki nam dano.

Te nasze chatuszki, jak chomików nory
Przygarbieni ci chodzili, co wzrost mieli spory.
Ale ci, co byli średniego wzrostu
To się nie kurczyli i chodzili prosto.

Tylko zimne te chatuszki były jak ze stali
My przymarznięte poduszki od ścian odrywali.
Bo ta chatuszka nie była ogrzana, a ogrzać jej my czym nie mieli.
Nigdy nie zapomnę, jak szłam w tajgę w silną śnieżycę w niedzielę.
Idąc błagałam Najświętszą Pannę: dopomóż mi w mej biedzie.
Daj, bym znalazła choć kawałek drzewa, chcę ogrzać swoje dzieci.

Wnet zobaczyłam, chyba cud się stał, tam coś na śniegu czernieje.
Chyba, że Pan Bóg dał mi to drzewo, z radości serce aż mdleje.
Zabrałam ja drzewo, włożyłam na sanki i przywiozłam do domu
Mąż był w kopalni, a dzieci małe, nie było pomóc komu.

Jak ja te drzewo przywiozłam do domu
Naprawdę, wstyd dzisiaj przyznać się komu.
Jaka to radość była i nadzieja
Że będzie ciepło, jak piec się nagrzej.

Dzieci się cieszyły, że pogrzeją nóżki.
A może dziś nie przymarzną do ściany poduszki
Dokuczał nam chłód, dokuczał nam głód.
O, mój Boże, myśmy tylko wierzyli w Twój cud.
Że nadejdą dni i przyjdzie ten czas,
Że Królowa nasza Polska przytuli i nas.

Znęcał się nad nami ten rząd stalinowski
A na duchu nas podnosił generał Sikorski.
On pomagał nam w cierpieniach i zrobił co mógł,
Ża te wszystkie jego troski błogosław mu Bóg.

Lecz nie długo to potrwało, zginął biedak sam
I więcej już nie pośpieszył z swą pomocą nam.
O, jakże my wszyscy opłakali śmierć jego
Nie będziemy mieli ojca nigdy już takiego.

By tak szukał nas po tajgach, dzielnie, po sarmacku
Tych co byli w krasnojarskim i tych co w Irkucku.
Zbieram nas po świecie, jak rozsiane kwiatki
I pocieszał, że wrócimy do Ojczyzny Matki.

Na duchu nas trzymała ta nasza nadzieja,
Że przyjdzie kiedyś koniec na tego złodzieja.
Za co on nas zabrał z naszej własnej chaty
Żeśmy byli wierni Ojczyźnie przed laty.

Żeśmy byli wierni, jak posłuszne syny
Za to wdziano nam kajdanki bez najmniejszej winy
Wywieziono nas daleko w kraj który nieznany
Gdzie mój dziadek był, nieboszczyk, przez cara zesłany.

Błądząc ja po górach, po ścieżkach złowrogich
Odnalazłam ja grób dziadka, co mnie bardzo drogi.
Na grobie stał krzyżyk już mocno struchlały
Zginął tam nasz Polak dla Ojczyzny chwały

Była tam tabliczka, na niej napis polski
Tu spoczywa Polak Jerzy Królikowski
Zbieg okoliczności - takie odwiedziny-
Odnalazłam ja grób dziadka w jego imieniny.

Tam, gdzie on spoczywa wśród ciernistych krzaków
Ja złożyłam mu życzenia od wszystkich Polaków
Złożyłam mu kwiatki, zmówiłam paciorek.
Był to dwudziesty trzeci kwiecień 1942 rok.
Powiedziałam dziadku, że nie jest już sam,
Że dużo Polaków przywieziono tam.
Będziemy przychodzić rano i wieczorem
Chociaż my jesteśmy pod strasznym nadzorem.

Opowiemy tobie o Polsce nowiny,
Że nas też tu przywieziono bez najmniejszej winy.
Schwymano nas w nocy z rodzinnego kraju
I wygnano nas na Sybir, jak Adama z raju.

Jakby ostrym mieczem nam serce przebodły
Niech on marnie zginie, ten Stalin, pies podły.
I tych, co nas przywieźli w podniebne góry
Niech ich wszystkich wezmą diabli za nasze tortury.

I tak czekaliśmy głodni i w tęsknocie
W chłodzie, poniewierce, przy ciężkiej robocie
I wierzyli mocno - doczekamy chwili
Że Pan Bóg sowieców plany też uchyli.

Rok czterdziesty szósty - my jeszcze w niewoli
Nareszcie pękł łańcuch tej naszej niedoli.
Dziewiątego marca gdy słońeczko wstało
Jakimże nas miłym słowem powitało.
Wstańcie dzieci moje, już się doczekali
tej miłej godziny, o którą błagali.
Z jakimże my płaczem tej wieści słuchali
Czy może być prawda, że wolne my zostali?

I powrócimy znów w te rodzinne strony
Gdzie słońeczko świeci na polskie zagony?
Dziewiątego marca z tajgi powracałam
I wiozłam wóz drzewa i z głodu płakałam.

A tu nagle słyszę jakiś głos tajemniczy
Już powiozają was do Polski, przerażony krzyczy
Ten człowiek co krzyczał, co mi wieść ogłosił
Chociaż on był ruski, też kajdanki nosił.

Ja przywiozłam drzewo na fermę do bazy
Zrzuciłam i poszłam do dzieci od razu.
Także przez noc całą my wszyscy nie spali
Strach nas oblatywał, by nie odwołali.

A nazajutrz rano nim słońeczko wstało
To już ~~z~~ zaprzężone dla nas woły stali.
Kazano nam wsiadać i poganiać woły.
Obszarpanym, oberwanym, a nawet i gołym
Przywieźli nas nagich, aż do samej Moskwy
W Moskwie przyszli nas odwiedzić z ambasady polskiej
Pytali nas rozrzewnieni takim miłym głosem
Gdzie wy się spotkali z takim strasznym losem.

My im w odpowiedzi na ich zapytanie
złożyliśmy na ich ręce swoje sprawozdanie
Nie może się zmieścić w ludzkiej wyobraźni
Cośmy wycierpieli w tej sowieckiej kaźni.

Gnano nas do pracy przez całe dni i noce
A pomocy my nie mieli, oprócz boskiej mocy.
Jak tylko, że nasze święto - skapowali
To nawet i chleba w ten dzień nie dali.

To tylko jedno dobrze się pamięta
Jak ganiano nas do pracy w każde nasze święto
Brudy ich śmietników sprzątać nam kazano
W dzień Wielkanocy już o szóstej rano

Inaczej nas nie nazwała ta sowiecka horda
Wychadzi na robotu polackaja morda
Wyganił nas na góry do kopania śniegu
Żeby nie zatrzymywał wagonetek w biegu.

A za tą pracę od szóstej rano
To na obiad zupy po talerzu dano.
Chleba albo kaszy to nigdy nie dali
Bo kucharze z dyrektorem sami pozjadali.
Zaraz ~~ka~~krzyczeli: pokuszali? niet?
I znów nas pognali w góry kopać śnieg.

A były wysokie te okropne góry
Szczytami swymi sięgali aż pod ciemne chmury.
Wiatr ze śniegiem smagał po twarzach okropnie,
A mróz też był duży, aż pięćdziesiąt stopni.
A jak przyszliśmy do domu - nie zagrzałi,
Bo nie było czym napalić, opału nie mieli.

Takie to my życie w tych kopalniach mieli
Nic ja wam nie kłamię, drodzy przyjaciele
A my wszystko to oierpliwie znosili
I z wielką ufnością wciąż Boga ~~R~~ prosili.